

# Jak wam się podoba, jak się kochają...

Wciągnięty, zauroczony „festiwalem Gombrowicza” zaniedbałem trochę spojrzenia na inne przedstawienia w Warszawie, wśród których nie brakło premier interesujących. Spróbuję nadrobić moje opóźnienie.

W Teatrze Narodowym, jak przystało, wielka klasyka: Szekspir i „Jak wam się podoba” w reżyserii Krystyny Skusanki. Jest to, w zasadzie, replika jej dawniejszej inscenizacji tej utopijnej komedii, sławiącej sielską-anielską szczęśliwość idealnego Lasu Ardeńskiego. Skusanka za swą pierwotną inscenizację zebrała mnóstwo pochwał. Była wówczas w modzie. Dzisiaj wielu kręci nosem, oceny bywają kwaśne. Nie wiem czemu. Widowisko jest tożsame z tym dawniejszym, pomysłowe, dopieszczane, zapięte na ostatni guzik i guziczek. Las Ardeński łśni wieńczącą bielą niewinnego raju, po którym tylko melancholik Jakub (Krzysztof Chamiec) snuje się sceptyczny, w ciemnym ubraniu i pod parasolem. Przedstawienie ma sporo świetnych momentów, jak choćby scenę pojedynku na dworze niedobrego księcia Fryderyka. Aktorsko jest sumiennie dopracowane, chociaż bez gwiazd i z Krystyną Mikołajewską jako Rozalindą, która to rola niezbyt jej odpowiada. Scenografia Grażyny Zubrowskiej dobrze dostosowana do koncepcji reżyserskiej, baśniowa, połyskliwa.

Ze swej premiery Moliera „Don Juana” może być zadowolony Teatr Nowy i reżyser Bohdan Cybulski. Przedstawienie, w tonacji serio, redukuje do minimum farsową warstwę sztuki, wybijając na plan pierwszy przemiany Don Juana od bebożnego libertynizmu do świętoszkostwa i faryzeizmu, a więc do grzechu, którym Molier najbardziej się brzydził. Marek Obertyn przekonywająco i z siłą ukazał tę ewolucję, od uwodziciela w złocistym stroju i peruce zakrywającej łysinę aż po odzianego na czarno, diabelstwu oddanego panka, który grę z Niebem chce wygrać przez cyniczne posługiwanie się jego moralami. Jaki pan, taki sługa. Sganarel Jerzego Bończaka wydaje się być równie obojętnym użytkownikiem obowiązującej moralności, co jego chlebobawca w swoim ostatnim, niedoszłym wcieleniu. Przedstawienie jest konsekwentne w swej ponurej tonacji i wywiera silne wrażenie. Moliera zmuszano, by śmieszył. I robił to znakomicie. Ale przecież najbardziej swój był w takich sztukach, jak „Mizantrop” czy „Don Juan”.

Zabawna dosyć przygoda spotkała Teatr Współczesny, żyjący wspomnieniem jeszcze niezbyt dawnego „teatru Axera”. Zagrał on lekką komedię współczesnego angielskiego pisarza Alana Ayckbourn „Jak się kochają”, ale się zawstydził i jął gęsto tłumaczyć (w programie teatralnym) z takiego obniżenia lotu i czemu tak się stało. Nizej „Ślubu” Gombrowicza nie zejść

Teatrowi Współczesnemu, a tu nagle Ayckbourn; wprawdzie pisarz znany, ale bądź co bądź tylko „bulwarowy”...

I co powiecie? Publiczność wali na spektakl, koledy recenzenci powitali go wprost z zachwytem. Pochwałom nie było końca! Aż przesadnym, bo „Jak się kochają” – chociaż to sztuka doskonale zrobiona (bez tej umiejętności nie ostoł się żaden scenopisarz bulwarowy) – jednak ostatecznie nie odbiegającą swoim poziomem od wielu innych sztuk pierwszego sorty tego teatralnego gatunku. Natomiast rzeczywiście jest ona we Współczesnym zagrana, jak się to dawniej pisało, koncertowo. Trzy pary małżeńskie, zręcznie pomieszczone w swoich porozumieniach i nieporozumieniach, i zgrabnie, z wigorem poprowadzone przez Macieja Englerta, co rola to pysznie wyczelowane portrety. Mnie obojętnie najbardziej podobała się trójka: Zofia Kucówna, Marta Lipińska i Czesław Wołłejko. Perelki aktorskiego kunsztu. Podglądać i uczyć się.

I wreszcie „Czarna Mańka” Jerzego Lutowskiego i Jerzego Waldorffa w Syrenie, kolejna premiera i, bez zgadywanki, kolejne powodzenie. Kto nie lubi Syreny, kto z nas, starszych, nie lubi „dawnych wspomnień czaru”, i kto z młodszych nie chce oglądać scen z legendarnej przedwojennej Warszawy? Przy tym Syrena ma już niejaką wrapę w ukazywaniu warszawskiego folkloru. Lutowski i Waldorff dostarczyli teatrowi materiał może nieco sztampowego (czy mogło być inaczej?), ale obfitującego w różne bujne scenki i dającego teatrom wiele szans i możliwości. Nieźle ten materiał wykorzystał Zdzisław Leśniak (który też dał w „Czarnej Mańce” burleskowy epizod z „radzą Takabandą” na wizycie oficjalnej w Polsce). Na to tło brawurowo nałożył się farsowy duet Ewy Szykulskiej (Olga Mikołajewna) i Eugeniusza Robaczewskiego (Pantalej Szampancew). Wybornie się też spisują panowie Leon Baba-Babiński (Włodzimierz Saar) i Mieczysław Szapiro (Tadeusz Wojtych). Wojtychowi udał się rzadki numer: szmonces bez zgrzyw. Rola tytułowa przypadła Ewie Kuklińskiej: młoda, zwinną, gibką, wdzięczne zjawisko na scenie. Dobry rodzajowy epizod dał Rudolf Gołębiowski, a groteskowy – Bogusław Koprowski. W epizodach występują też ulubieni aktorzy Syreny: Bohdan Łazuka, Jerzy Bielenia, Lidia Korsakówna. Funkcje konferansjerów, Dramaturga i Satyryka, pełnią z konwersacyjną i estradową swadą, Tadeusz Pluciński i Andrzej Gawroński. Ale te postacie niezbyt się udały autorom.

Powrót Czarnej Mańki. Krystyna Kolińska napisała rzewnie na ten temat w programie teatralnym. Autorzy cofnęli się przed ukazaniem melodramatycznego końca bohaterki. Chyba słusznie, choć łzawy melodramat to nieodłączny składnik podwózkowych ballad. A nawiasem mówiąc, „Czarna Mańka” była takim przebojem, że chociaż przed wojną mieszkalem w Krakowie, który miał własne „królowe przedmieścia”, do dzisiaj, dając słowo, mogę powtórzyć z pamięci żalonna historię o dziewczynce, która pytała z rozpaczą niewiernego kochanka: „Czyś na mnie rzucił jakiś urok czy co?... czyś zadał mi czar?”. Po wojnie o Czarnej Mańce jakby zapomniano. Czy Syrena przywróci życie tej sławnej bohaterce „Czerniakowskiej, Górnej, i na Woli”?...